Roger Dee

Czysta karta

(Palimpsest)

`

Planet Stories, November 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Pierwszy wenusjański statek, który dotarł na Ziemię, znalazł tam jedno samotne plemię istot ludzkich, wędrujące po sawannach dużej wyspy na południowej półkuli. Wszyscy Ziemianie, bez wyjątku, mieli ciemną skórę i oczy, zaś ich włosy były kruczoczarne oraz równie mocno skołtunione i poskręcane jak owcza wełna. Byli prymitywni, cofnęli się do poziomu dzikusów, uciekając z zabobonnym strachem przed każdą próbą nawiązania kontaktu.

Vol Conna wraz ze swoją załogą – dziewięciu wysokich młodych mężczyzn, o odpowiednim kolorze skóry, dostojnych, podobnych do siebie, jakby byli braćmi – przeszukali dokładnie planetę, uważnie omijając ruiny miast, w których radioaktywność ciągle przekraczała normy bezpieczeństwa, i po dziesięciu dniach z rozczarowaniem zakończyli swą wyprawę.

— Nie widzę żadnych podobieństw między tymi pozostałościami ludzi z Ziemi, a nami — oznajmił Mach Bren, antropolog ekspedycji, — poza dwunogą budową ciała, która tylko potwierdza naszą teorię, że na podobnych planetach rozwijają się podobne gatunki istot, oraz że podobieństwo to jest mocno zaburzane przez niemożliwe do określenia rozbieżności w charakterystykach rasowych. Również i ludzie nie mogliby się tak bardzo zmienić w okresie czterech tysięcy lat, w którym wiemy z pewnością, że nasza cywilizacja istniała na Wenus, dlatego więc oczywiste jest, że ani my nie pochodzimy od Ziemian, ani oni od nas.

Nie było głosów przeciwnych.

— Czyli, zagadka naszego pochodzenia nadal pozostaje nierozwiązana — stwierdził Val Conna i wydał rozkaz startu. Ruszyli więc z Ziemi do domu, już planując dalsze wyprawy na planety zewnętrzne, w poszukiwaniu miejsca swego pochodzenia…

W jakiś sposób Hanlon przekradł się do ich kwater i czekał na Geddesa, Lowe i Hovica, załogę Terra IV, aż wrócą do bazy po swych ostatnich wywiadach dla prasy. Hanlon nie trzeźwiał już od wielu dni i jego stan był wręcz żałosny. Ręce mocno mu się trzęsły, a blask nabiegłych krwią oczu wyglądał jak odbicie ognistej czerwieni jego rozczochranych włosów.

— Musiałem pożegnać się z wami przed startem — oznajmił z żałosną próbą zachowania swej dawnej pewności siebie. — Pomimo wszystko, jeszcze parę miesięcy temu byłem przecież jednym z was, i… no dobrze, chciałem życzyć wam szczęścia. Szkoda, że nie mogę polecieć z wami na Wenus.

Przyglądali mu się bez specjalnych emocji, trzech ciemnowłosych, przystojnych mężczyzn, przed trzydziestką, spokojnych, doskonale zrównoważonych na skutek długiej indoktrynacji, i cechujących się ogromną pewnością siebie. Hovic, najbardziej bezceremonialny z całej trójki, zignorował Hanlona i poszedł prosto do łazienki, żeby wyszczotkować zęby.

— Straciłeś swoją szansę, kiedy rzuciłeś szkolenie, Hanlon — odpowiedział mu Geddes. — A w tej chwili jesteś już tylko irytujący, a my nie możemy sobie pozwolić na nerwy, tuż przed startem. Lepiej będzie, jak sobie pójdziesz.

Hanlon spuścił wzrok, wyglądając na gruntownie skruszonego i stłamszonego. Przydałoby mu się natychmiast golenie, a po jego ubraniu widać było, że spał w nim i to niejeden raz.

— Mógłbym znieść te wszystkie operacje — wyznał. — Wyrostek robaczkowy, migdałki i zęby, mogą być niebezpieczne w kosmosie, czy też na innej planecie, gdzie nie ma odpowiedniej pomocy medycznej. Ale to przeklęte uwarunkowanie psychiczne, to już dla mnie za dużo. Skąd mam wiedzieć, jakim stałbym się człowiekiem, kiedy ci chłodni jak ryby specjaliści z Fundacji, skończyliby ze mną?

— Podbój kosmosu wymaga specjalnie przystosowanych ludzi — cierpliwie wskazywał mu Geddes. — Tam, w przestrzeni, nie możemy ryzykować rozwinięcia się neurozy, tak samo jak nie możemy ryzykować zapalenia wyrostka robaczkowego, czy ropnia zęba. Fundacja wiele się nauczyła na tych pierwszych trzech porażkach, Hanlon. Tym razem już nie powtórzymy starych błędów.

Hovic wyszedł z łazienki, wkładając swą sztuczną szczękę. Był najcięższy z całej załogi, mocno umięśniony Słowianin, o naturalnej bezpośredniości człowieka pozbawionego wyobraźni.

— Hanlon, jesteś skończony. Dlaczego się stąd nie wyniesiesz i nie zostawisz nas w spokoju?

Przy drzwiach Hanlon zawahał się, odwrócił głowę.

— Startujecie już za sześć godzin, zostawiając wszystko za sobą. Kiedy wrócicie, będziecie bohaterami, no i będziecie bogaci…

Geddes poczuł, jak krzywi mu się warga.

— Ale teraz nie za bardzo mamy jak wydać nasze zaoszczędzone kredyty, o to ci chodzi? Chciałeś jeszcze spróbować nas podejść, zanim polecimy, a jeśli nie wrócimy, dług nie będzie nad tobą wisiał, co Hanlon?

Lowe stanął między nimi, wyciągając portfel. Był smukłym człowiekiem, z rodzaju wrażliwych, jedynym z całej trójki, który naprawdę przyjaźnił się z Hanlonem, zanim wrodzona niepokorność Irlandczyka doprowadziła do jego wykluczenia.

— Daj spokój, Ged. A co tam dla nas teraz znaczy, te parę kredytów?

Opróżnił swój portfel, wrzucając żółte karteczki w nastawione ręce Hanlona. Po chwili Geddes dołączył do niego, ale Hovic twardo stał w miejscu.

— Za moją część, może posiedzieć na trzeźwo — warknął Hovic. — Niech idzie do swoich kumpli od hazardu i dziwek, jeśli chce jałmużny.

Hanlon włożył do kieszeni zebrane datki i uśmiechnął się do Geddesa, skruszony wygląd powoli zaczął się rozpuszczać, zmieniając się w dawną beztroskę.

— Lepiej uważaj na mojego starego kumpla, Hovica, Ged. Stawiam dziesięć do jednego, że załamie się w kosmosie i skończy podróż, pod hipnolem.

Zapomnieli o nim, już w chwilę po jego wyjściu, wracając do pakowania ostatnich drobiazgów, rozkładania ciężkich kombinezonów, które mieli nosić na sobie podczas lotu, golenia i kąpieli przed ostatnią drzemką.

Pod prysznicem, Geddes zauważył jak Lowe dotyka swej blizny po operacji wyrostka i z zamyśleniem marszczy brwi. Bez sztucznej szczęki Lowe wyglądał starzej, niepewnie i jakby jakoś skurczony, tak więc pomimo swojego uwarunkowanego wyciszenia, Geddes poczuł chłodny dreszcz niepokoju.

— Nie myśl już o tym gadaniu Hanlona — powiedział. Posłał Lowemu kuksańca w żebra, próbując zachowywać się żartobliwie. — Ci medycy z Fundacji znają się na swojej robocie. Lepiej chodźmy i złapmy przed startem nieco snu dla urody.

Kiedy obudzili się trzy godziny później i ubrali się do lotu, stwierdzili, że Hanlon odpłacił im drugą wizytą i ukradł całej trójce zegarki, drogie instrumenty, warte co najmniej swej wagi w platynie.

— Niewielka cena — stwierdził Geddes i wzruszył ramionami na tę stratę, z uwarunkowanym spokojem. Lowe nic nie powiedział. Tylko Hovic gderał.

— Za te zegarki będzie mógł siedzieć po same uszy w irlandzkiej whiskey przez wiele tygodni — marudził. — Mam nadzieję, że ta wesz zapije się na śmierć.

Po tej uwadze zeszli do samochodu dla personelu Fundacji, który czekał aby zawieźć ich na miejsce startu – trzech spokojnych, rezolutnych młodych ludzi, pełnych niewzruszonej pewności siebie i przygotowanych na wszystko.

Dotarli na miejsce o zmierzchu, dokładnie w chwili, kiedy ostatni pojemnik z zapasami został załadowany do środka pionowej, brązowej iglicy Terry IV. Wspięli się po długiej drabince dla załogi, niewzruszeni przez rozbłyski fleszy fotografów, i zniknęli jeden po drugim w środku statku, który miał w końcu połączyć Ziemię i Wenus. Zamknęli właz, sprawdzili przyrządy pomiarowe i przedział medyczny wraz ze znajdującym się w nim sprzętem do hipnolu, a na koniec przypięli się pasami do połączonych ze sobą pneumatycznych leżanek antyprzeciążeniowych.

Świecąca na czerwono żarówka na panelu przyrządów, zmieniła swój kolor na bursztynowy, a następnie na zielony. Geddes nacisnął przycisk odpalenia…

Waga przycisnęła ich do leżanek, jak gigantyczny pas. Nie czuli niepokoju. Byli przyzwyczajeni do przyśpieszenia i wiedzieli dokładnie kiedy ich niewygoda się zakończy. Czekali cierpliwie, z zamkniętymi oczyma, nie tracąc przytomności dzięki uwarunkowaniu przy pomocy wirówek i niekończących się sesji przygotowań psychologicznych.

W ciągu kilku minut znaleźli się poza atmosferą Ziemi. Po pierwszej godzinie lotu, wyłączyły się silniki chemiczne, pracę zaś podjęły propulsory atomowe, pchające Terrę IV z mniejszym przyśpieszeniem, mającym doprowadzić statek na Wenus, dokładnie w ciągu dwudziestu siedmiu dni, biorąc pod uwagę poprawki dryfu orbitalnego.

Komunikacja z Fundacją, w trakcie lotu, była prostym w teorii zastosowaniem połączenia kierunkowego, opartego na wąskiej wiązce. Terra I udowodniła jego użyteczność już w 1969 roku, dwadzieścia dziewięć lat wcześniej, kiedy zamrożone przewody paliwowe zmieniły ją w dryfujący w kosmosie wrak. Haczyk polegał na tym, że aby mogło działać radio, trzeba było wyłączyć napęd atomowy, stanowiący potężne źródło zakłóceń.

Minęło osiem dni, zanim wyrwali się całkowicie z uścisku grawitacyjnego Ziemi, ale już znacznie wcześniej – drugiego dnia podróży, dokładnie mówiąc – Terra IV stanęła przed pierwszym zagrożeniem.

Lowe, wykonując rutynową kontrolę skrzyń z zapasami, przytwierdzonymi do grodzi ładowni przy pomocy specjalnych rygli, usłyszał szaleńcze walenie, pochodzące, nie z zewnątrz kadłuba, jak w pierwszej chwili zaskoczenia podsunęła mu fantazja, ale ze środka szczelnie zamkniętego pojemnika, oznaczonego „FILMY”.

Zawołał Geddesa i Hovica, bardziej po to by udzielili mu wsparcia moralnego, niż rzeczywistej pomocy, i razem rozerwali pojemnik. W środku znaleźli Hanlona, leżącego bez świadomości na stercie puszek z jedzeniem i pustych butli po tlenie. Inwentarz obejmował także butelkę whiskey. Hanlon, żeby być ścisłym, był kompletnie pijany.

Wyciągnęli Hanlona z ładowni i przypięli go do fotela radiowca, który miał być nieużywany przez kolejne sześć dni. Ściągnęli z jego purpurowej twarzy maskę tlenową i odżywiali go dożylnie, aż w końcu jego niesamowicie odporny organizm pokonał skutki przyśpieszenia, irlandzkiej whiskey oraz silnego podduszenia.

Śmiał się z ich min, kiedy pytali go, dlaczego zabrał się z nimi na gapę.

— Zwiałem przed służbą w wojsku — oznajmił. — Kolejna wojna może wybuchnąć w każdej chwili – ostatnia wojna.

Hanlon był absolutnie zdrowy na umyśle, pomimo obrażeń jakie odniósł podczas startu i później w dusznym więzieniu swej kryjówki, tak więc jego proroctwo wstrząsnęło nimi bardziej, niż ośmielali się sami przyznać.

— Wszystko zmierza w tym kierunku już od miesięcy — mówił dalej. — W Fundacji nic wam nie mówili, ponieważ nie chcieli, żeby coś wam

przeszkadzało w szkoleniu, ale bomby zaczną spadać jeszcze zanim dolecimy na Wenus. Zobaczycie, kiedy uruchomicie radio.

Trzymali Hanlona przypiętego do leżanki radiowca, zdając sobie sprawę z tego, że lepiej mu nie ufać. Uwalniali go tylko chwilowo, dla załatwienia potrzeb fizycznych, i to jedynie wtedy, kiedy wszyscy trzej byli wolni i mogli go pilnować. Dokonali odczytów astronomicznych i poprawek orbity, zgodnie z zapisami w instrukcjach, ukrywając przed sobą nawzajem wyczekiwanie na dzień, w którym hałas atomowy propulsorów ucichnie i będą mogli się przekonać za pośrednictwem radia kierunkowego statku, że Hanlon się mylił.

Między sobą rozmawiali mało, ale Hanlon mówił bez przerwy, skarżąc się na swoje więzy i okresowo spadając do stanu bliskiemu niemal delirium, dopóki nie minęło jego początkowe pragnienie alkoholu. Potem przestawił się na ocenę szans ich bezpiecznego lądowania na Wenus, ignorując w swój popędliwy sposób wszystko to, czego nauczono go przed jego wydaleniem z Fundacji.

— Terra I zaginęła w 1969 roku — powiedział pewnego razu. — Fundacja odbierała jej sygnały jeszcze daleko za Jowiszem, gdzie poleciał jej wrak. Nigdy do końca nie udowodnili, dlaczego utracono Terrę II w 1980 roku. Chłopcy z Palomar twierdzili, że jej zapasy paliwa wybuchły tuż nad atmosferą Wenus, ale nie mieli czasu na wykonanie analiz spektralnych. To mogło być również wyładowanie elektryczne – musi być cholerna różnica potencjałów między planetami, czy też między napromieniowanym w kosmosie statkiem i planetą położoną tak blisko Słońca, jak Wenus.

Próbowali ignorować jego gadaninę, odrzucając myśli, że jednak mimo wszystkich swych przygotowań, mogliby nie zostać pierwszymi ludźmi, którzy postawią nogę na nowej planecie. Jak również, że nie mogliby zgłosić żądań do Wenus, jako własności Fundacji, gdyby okazało się, że Terra II jednak wylądowała jako pierwsza. Był to prywatny statek, którego załogę tworzył wraz ze swoją rodziną lekkomyślny i bajecznie bogaty Irlandczyk, znany wróg kobiet, Sean Connors.

Terra III, zbudowana przez Fundację, lecz obsadzona przez personel wojskowy, wykonała swój przelot w 1991, i spadła niepilotowana na Słońce, kiedy jej załoga zbuntowała się przeciwko jedynemu obecnemu na pokładzie oficerowi.

I jeśli Hanlon miał słuszność, Terra IV w 1998 roku, mogła być ostatnim statkiem.

Znosili jego teorie dopóki ich uwarunkowany spokój poważnie się nie nadwyrężył, w końcu uciszając go groźbą, że dalszą część podróży spędzi pod hipnolem. Hanlon zapadł w ponure milczenie i w tajemnicy zajął się swymi więzami. Sytuacja ciągnęła się w ten sposób bez końca, aż do upłynięcia ośmiodniowego okresu przyśpieszania, kiedy odpięli Hanlona od leżanki, aby można było użyć radia.

Śpiesząc się, by nawiązać kontakt z Ziemią, zapomnieli ponownie związać Hanlona, co było błędem, jako że nie był on uwarunkowany tak jak oni przeciw niezwykłym reakcjom fizjologicznym na stan nieważkości, który nastąpił po wyłączeniu silników.

Hanlonowi wydało się nagle, że zaczął spadać w bezdenną studnię, i upadek ten nie miał końca. Serce podskoczyło mu do gardła, błędnik w uszach zaczął wariować, instynktowny lęk przed upadkiem, odziedziczony po nadrzewnych przodkach, zwinął mu żołądek w ciasny węzeł i pozbawił ostatnich strzępków rozsądku.

— Ja spadam! — wrzasnął na całe gardło i rzucił się w stronę poręczy. — Spadam…

Zdezorientowane narządy ruchu i równowagi zareagowały gwałtownie, co uniemożliwiło mu zachowanie koordynacji, i walnął z całej siły w gródź. Geddes i Lowe złapali go z obu stron, podczas gdy Hovic próbował odepchnąć wszystkie trzy kręcące się ciała od pulpitu sterowniczego. Hanlon jednak nie dawał się uspokoić. Wrzeszczał i rzucał się jak szaleniec, próbując skompensować każdy ruch przez gwałtowne wymachy kończyn.

W końcu przycisnęli go do podłogi i wstrzyknęli mu tyle hipnolu, że miał leżeć nieprzytomny przez kilka dni. Zostawili go unoszącego się bezwładnie w powietrzu, przypiętego za koniec pasa do pierścienia na grodzi, i zajęli się obsługą komunikatora kierunkowego, starając się dostroić pierwszy rozmyty sygnał, jaki dotarł do nich z Ziemi.

Dobrze się stało, że Hanlon był nieprzytomny, ponieważ jego proroctwo spełniło się, co do joty. Na Ziemi wybuchła wojna – i już się zakończyła.

Nie odebrali nic więcej, poza tym jednym rozpraszającym się sygnałem, ale zanim zniknął on z odbiornika, zrozumieli, że kataklizm miał charakter atomowy, ogólnoplanetarny i ostateczny. A kiedy ostatni zaszumiony kontakt z Ziemią się zakończył, popatrzyli na siebie z bladymi twarzami ponad milczącym radiem i poczuli jak świadomość końca rasy ludzkiej wzbiera w nich jak szaleństwo, pod psycho-blokami ich starannie uwarunkowanego zdrowego rozsądku.

— A więc, Hanlon pomimo wszystko miał rację — stwierdził Lowe, zduszonym głosem.

Po tych słowach, nie potrafili powiedzieć już nic więcej, dopóki wtłoczone im w głowy znaczenie realizowanej misji, nie przywróciło ich do normalności i nie wrócili do swoich kolejnych zadań. Była przecież ciągle Wenus…

Nie wybudzili Hanlona z jego hipnolowego transu, aż do chwili, kiedy Terra IV nie zaczęła po spirali schodzić ze swej orbity do lądowania. Geddes przekazał mu wtedy wiadomości, przygotowując się do odparcia zgryźliwej ironii Hanlona.

— Tak więc, miałeś rację — poważnie zakończył Geddes. — Ziemia jest skończona. Martwa.

Myślał w tej chwili w kategoriach miast, rządów i cywilizacji, i reakcja Irlandczyka wprawiła go w ogromne zakłopotanie.

— Skończona? — odparł Hanlon i ukrył twarz w dłoniach. — Boże… ci wszyscy zwykli ludzie!

Potem zachowywał się tak spokojnie, że pozostali, zajęci niebezpiecznym zadaniem lądowania, zapomnieli o nim. Ciągle milczał, kiedy Terra IV zanurzyła się w pierwsze warstwy mlecznych mgieł atmosfery i z leżącej w dole planety strzelił nagle ogromny rozbłysk białego ognia, który uderzył w statek z trzaskiem miliona piorunów.

Terra IV zachwiała się, na wpół zrolowała i wyprostowała się z cienkim wizgiem wysilonych do ostateczności żyroskopów. Ciąg atomowych propulsorów na chwilę osłabł, a następnie ponownie się ustabilizował, sprowadzając ich dalej, przez kłębiące się mgły.

— Wyładowanie elektrostatyczne — Geddes usłyszał siebie, wygłaszającego to stanowcze stwierdzenie. — A więc Hanlon znowu miał rację. Pewnie z Ziemi wyglądało to, jakby wybuchł stos paliwowy, jeżeli oczywiście pozostał tam jeszcze ktoś, kto nas obserwuje.

Jakimś cudem nie było poważniejszych uszkodzeń. Sprowadzili statek, rufą do dołu, na oczekującą ich powierzchnię Wenus.

— Srebrna Planeta — stwierdził Lowe z nagłym spokojem. — Miała stać się Nową Ziemią, pamiętacie?

Trwało to chwili, kiedy nie odkryli przyczyny spokoju Hanlona. Wykorzystując ich zaabsorbowanie lądowaniem, włamał się do szafy z zapasami, znajdując plastikową butelkę z alkoholem medycznym i zaszedł już daleko na drodze upijania się w trupa.

Kiedy zabrali mu butelkę, zaczął ich paskudnie przeklinać.

— Idźcie, i weźcie sobie tę waszą planetę, wy syntetyczni bohaterzy. Nie chcę nawet kawałeczka. Do diabła, żałuję, że nie zostałem na Ziemi.

Wyszli na zewnątrz, popędzani przez uwarunkowanie, polegające na prostej sugestii posthipnotycznej. Tym razem jednak nie powtórzyli błędu polegającego na pozostawieniu pasażera na gapę na wolności. Złapali siłą, szalejącego Hanlona i zanim założyli skafandry oraz wyszli ze statku, ponownie przywiązali go do fotela-leżanki przy stanowisku radiowym.

Zeszli po długiej drabince załogowej i stanęli razem na obcej ziemi, czując przelotny dreszcz dumy ze swego osiągnięcia, przewidziany i zaaprobowany przez ich mentorów z Fundacji. Ich uniesienie, było jednak krótkotrwałe. Przypomnieli sobie, co się stało na Ziemi, oraz że nie ma już powrotu do domu i że pozostała im tylko posępna procedura eksploracji planety, która nigdy nie zostanie wykorzystana.

Statek wylądował koło czystej, płytkiej rzeki, zasilającej swym ospałym nurtem większą rzekę, niknącą w oddali w rozlewającym się na sporej części horyzontu, parującym morzu. Niebo nad nimi, stanowiło gładką, srebrną skorupą, ozdobioną ogromnym kołem z tęczy, otaczającym miejsce, w którym, za milami przesiąkniętego oparami powietrza, kryło się Słońce. Teren był pofałdowany, pokryty darnią i poznaczony zalesionymi pagórkami. Wznosił się od rzeki do linii niskiego pogórza, strzegącego purpurowego łańcucha znajdujących się za nimi gór. Między statkiem i wzgórzami spokojnie pasło się, niewzruszone hałasem lądowania Terry IV, rozproszone stado tłustych, czarnobiałych łaciatych stworzeń.

Metodycznie zabrali się za swoje sprawy, wypełniając niewielkie, sterylizowane pojemniczki, próbkami powietrza, gleby i roślin. Lowe podszedł do brzegu płytkiej rzeki i nabrał pełną butelkę wody, zostawiając

za sobą w błocie wielkie bezkształtne ślady, wyglądające bardziej na trop ogromnego potwora, niż człowieka.

Przyniósł wodę z powrotem do Geddesa i Hovica, i we trójkę stali ze swą zdobyczą w rękach, spoglądając na siebie głupim wzrokiem.

— A co my z tym będziemy robić? — spytał Lowe. — Czemu po prostu nie pójdziemy na statek, nie przeciążymy stosu do masy krytycznej i nie skończymy z tym wszystkim? Jaki to ma sens?

Próbowali wymyślić jakąś odpowiedź na to pytanie, kiedy zobaczyli, że przez rzekę płynie łódź – prymitywna balia o kształcie przypominającym nocnik, zbudowana z resztek metalowych arkuszy, wprawiana w ruch wiosłami przez dwie kobiety, bez wątpienia należące do ludzkiej rasy. Obie ubrane były w skąpe, utylitarne części garderoby, uszyte z bladozielonego spadochronowego jedwabiu. Ich nagie ramiona błyskały bielą w srebrnym świetle słońca. Długie, rude włosy powiewały swobodnie na wietrze.

Hovic jako pierwszy znalazł język w gębie.

— Hanlon znów miał rację. Connorsowie jednak bezpiecznie wylądowali na powierzchni Terrą II!

Prowizoryczna łódź dotarła do brzegu. Dziewczyna na dziobie wstała, pewnie dzierżąc w rękach przestarzały karabin energetyczny.

— Rzućcie broń — władczo zawołała. — I ściągnijcie te kretyńskie skafandry. Popatrzmy, jakich ludzi tu przyniosło, zanim powitamy was na naszej planecie!

Bez oporu rzucili na ziemię pistolety i ściągnęli niezgrabne skafandry, oddychając ciepłym powietrzem z ulgą ludzi, nagle obudzonych z koszmarnego snu. Podeszli do linii wody, z poczuciem przeznaczenia, jakie na nich spadło.

W łodzi, ze wstrząsem stwierdzili, że nie są gośćmi, lecz jeńcami. Obie kobiety ostrożnie wycofały się na rufę, ostentacyjnie trzymając broń w pogotowiu. Geddes i Hovic wiosłowali. Lowe próbował cierpliwie nawiązać rozmowę.

Dowiedział się co nieco, oprócz samego faktu ich obecności tutaj. Dziewczyna z karabinem nazywała się Myrna Connors, a jej siostra miała na imię Glenna. Ich matka i starszy brat zginęli w wypadku, podczas lądowania Terry II, zaś sam Sean Connors uległ w tej samej katastrofie trwałemu paraliżowi. Czekał na powrót swych córek w obozie. Obie kobiety nie miały jeszcze trzydziestki, były ładne, w fundamentalny sposób, ewidentnie wrogie i całkowicie pozbawione typowych dla kobiecych manier ograniczeń.

Słuchały bez żadnych uwag, tak jakby ich to nie interesowało, ani o to nie dbały, relacji Lowe'a z tego, co wydarzyło się na Ziemi. Kiedy Terra II się rozbiła, żadna z nich nie mogła mieć więcej niż siedem, osiem lat, pomyślał Geddes. Przez osiemnaście lat nie widziały żadnej istoty ludzkiej, poza swoim ojcem, i nie czuły śladu współczucia dla świata, który już zupełnie zapomniały.

Dotarli do obozu Connorsa późnym popołudniem, kiedy halo słoneczne miało właśnie dotknąć horyzontu na zachodzie. Znaleźli się teraz wyżej niż na podgórzu, powietrze było tu chłodniejsze i parę otwartych torfowych łąk było usianych delikatnymi, jasno żółtymi, małymi kwiatkami. Samo obozowisko było prymitywne, otaczał je stustopowy płot z drewnianych kołków, powbijanych w miękką ziemię, składały się na nie trzy nędzne, kryte strzechą chaty.

Myrna Connors trzymała ich pod bronią koło środkowej chaty, zaś jej siostra weszła do środka. Rozległo się krótkie szemranie głosów, głos dziewczyny, mieszający się niższym, ochrypłym pomrukiem mężczyzny. Kiedy Glenna wyszła na zewnątrz, jej nastawienie zmieniło się w jakiś nieokreślony sposób, a kiedy popatrzyła na trzech mężczyzn, jej wzrok zawisł na nich z wyrazem dziwnej spekulacji.

— Ojciec chce się teraz z wami zobaczyć — oznajmiła. — Nie dyskutujcie z nim. Jest bardzo słaby, a kłótnie go denerwują.

Kiedy weszli do chaty, zobaczyli Seana Connorsa, rozpartego na prymitywnej kozetce, zrobionej z ocalałej z wypadku leżanki antyprzeciążeniowej. Był to kruchy i poskręcany starzec, o łysej, piegowatej głowie i dziko skłębionej rudej brodzie. Ostre, niebieskie oczy, które skierował w ich stronę, miały w sobie niezwykły ogień umysłu, podążającego daleko poza granice bezpieczeństwa.

— A więc, wszyscy się pozabijali — wyszeptał i wydał z siebie kaszlący odgłos, który można było uznać za śmiech. — A wy jesteście najlepszym, co mogli wysłać, żeby dalej podtrzymać rasę.

Gniewnie zamrugał, kiedy Geddes próbował mu odpowiedzieć.

— Nie dyskutuj ze mną. Z jakiego innego powodu mieliby was tu wysłać, kiedy Ziemia zamieniła się w stertę popiołów? Ale jest was trochę za wielu. Będziecie musieli ciągnąć losy.

Kiedy stali w milczeniu, wpadł w starczą wściekłość, i zorientowali się, że był bez reszty opętany jedną ideą.

— Wy głupcy, chcecie się spierać z przeznaczeniem? Albo może przysłali mi tu załogę nienaturalnych dziwolągów, którzy są do niczego dla kobiet?

Dostał ataku kaszlu, dusząc się swym własnym gniewem. Kiedy wyszli od niego, wpadł w ciąg zrzędliwych pomruków, jego pusta paplanina grzęzła w skołtunionej brodzie.

Obie kobiety czekały na zewnątrz. Myrna Connors odłożyła swój karabin, a jej spojrzenie przybrało, taki sam jak u siostry, wyraz spekulacji.

— Ojciec ma rację — powiedziała. — Glenna i ja omówiłyśmy to między sobą i uważamy, że w waszej trójce jest coś takiego, co czyni was za bardzo podobnymi do siebie, żebyśmy mogły wybrać. Będziecie musieli urządzić losowanie.

— Chciałybyście załatwić to w taki sposób? — z niedowierzaniem dopytywał się Hovic. — To jak, mamy rzucić monetą, czy ciągnąć słomki?

Nachyliła głowę w stronę chaty, nasłuchując majaczeń starca.

— Ojciec nie przeżyje dłużej, niż jeszcze miesiąc, może dwa. Potem, co innego nam pozostanie? Co za różnica, jak to się stanie?

Stali tam w milczeniu, podczas gdy pryzmatyczne halo słoneczne ześlizgnęło się na zamgloną linię odległego horyzontu. Zerwał się chłodny wiatr, niosący ze sobą zapach żółtych torfowych kwiatków, a gdzieś z położonych niżej równin dolatywały ryki czarno-białych roślinożerców, brzmiące jak zmutowanie gruchanie gołębi.

— Oczywiście, macie rację — stwierdził Geddes. — Musimy myśleć o przyszłości rasy, oraz nas samych. Będziemy ciągnąć losy.

Odeszli na bok, pod kompozytową ścianę chaty, pozostawiając kobiety wpatrujące się w nich z nieskrywaną niecierpliwością. Geddes podniósł suchą gałązkę i połamał ją na trzy części, dwie długie i jedną krótką.

— To rozwiązanie daje nam coś więcej — powiedział, uważnie ściszając głos. — Jest niezależne od naszej opinii. A nasze opinie nie są takie same, jakie by były, gdybyśmy nie zostali tak gruntownie uwarunkowani, aby…

— Zapomniałeś o czymś, Ged — wtrącił się Hovic. — Co z Hanlonem?

— Nie zapomniałem o Hanlonie — odparł Ged. — Właśnie dlatego chciałem porozmawiać z wami na osobności. Ponieważ jakimś cudem otrzymaliśmy szansę, aby rozpocząć wszystko od początku, tym razem wiedząc dostatecznie dużo, by uniknąć starych, śmiertelnych błędów. My jesteśmy stabilni, a Hanlon nie – to właśnie dlatego Fundacja wybrała nas, a jego odrzuciła. Rozumiecie chyba, że nie możemy podjąć ryzyka, aby Hanlon się wtrącał, z tym swoim całym hedonizmem i stosunkiem do kobiet. Czy chcecie pozwolić na wpuszczenie takiego dzikiego nurtu w nową rasę? Nie będzie to łatwe, ponieważ jesteśmy uwarunkowani przeciwko osobistemu użyciu przemocy, ale będziemy musieli pozbyć się Hanlona.

Wpatrywali się w niego, przetrawiając pomysł.

— Nie musimy stosować przemocy — poddał im Geddes. — Już jest pod hipnolem. Musimy tylko trzymać go pod nim przez cały czas.

Lowe pokręcił przecząco głową.

— Ja nie mógłbym tego zrobić, Ged. Nie jestem w stanie zmusić się do tego.

Hovic był twardszy.

— To jedyny sposób. Hanlon błagał nas o jałmużnę, a potem ukradł nasze zegarki, żeby się tutaj przeszmuglować. Nigdy nie zostawi nas w spokoju. Będzie sprawiał takie kłopoty, że w końcu będziemy musieli go zabić. Dlaczego więc nie zrobić tego teraz, kiedy jest to znacznie łatwiejsze?

— A więc, ustalone — stwierdził Geddes. — Ci dwaj z nas, którzy wygrają, zostają tutaj. Przegrany wraca na statek i załatwia sprawę z Hanlonem. Gotowi?

Skinęli głowami. Geddes wyciągnął zaciśniętą pięść, z której ledwie wystawały końce patyczków.

Lowe, z dolną wargą, przygryzioną do białości równymi zębami protezy, jako pierwszy wyciągnął długi patyczek. Hovic wyciągnął drugi.

Geddes otworzył dłoń i popatrzył na krótki patyk, który pozostał mu w ręce. Jakoś wcześniej nie wydawało mu się możliwe, że przegra; to było jak śmierć, coś co przydarza się tylko innym.

— No dobrze — powiedział. — W końcu to był mój pomysł, co nie?

Odszedł, ciągle ściskając patyczek w dłoni. Przed zapadnięciem nocy udało mu się pokonać drogę do rzeki, oraz do Terry IV.

Siedział na mokrej od rosy darni, opierając się plecami o drabinkę wejściową, kiedy usłyszał, że nadchodzą. Z otwartego włazu nad nim, bił w ciemność stożek światła, wbijając swój żółty palec we mgłę i rozsiewając dookoła rozproszoną poświatę, sięgającą aż do położonej w dole rzeki.

Hanlon leżał obok niego na trawie, ogolony, wykąpany i przebrany w czyste spodenki oraz podkoszulek. Kiedy Geddes obudził go spod hipnolu, zjadł potężny posiłek i znudzony oczekiwaniem uciął sobie drzemkę. Jego pierś unosiła się i opadała, w równym rytmie snu.

Hovic i Lowe z chlapaniem przepłynęli przez rzekę i wyszli z ciemności, z rozwianymi włosami i oczyma błyszczącymi na wymizerowanych twarzach. Byli wybłoceni, brudni – i załamani.

— Nie zrobiłeś tego — ochryple stwierdził Hovic, kiedy zauważył leżącego Hanlona. — Dzięki Bogu. Jak się domyśliłeś?

— Siedziałem tu przez całą noc, rozmyślając nad tym — odparł Geddes. — Myślałem o was, tam w górze, o waszych prawach zwycięzców, i na tę myśl powinno mnie ogarnąć podniecenie. Nic jednak nie czułem i w końcu zrozumiałem, dlaczego. Wyrzuciły was, co?

Uciekli wzrokiem w bok.

— To było straszne — wyznał zawstydzony Lowe. — Wpadły… w furię. Chciałem umrzeć.

— A więc Hanlon jeszcze raz miał rację — podsumował Geddes. — Czy nie uderza was, że miał rację za każdym razem? Instynktownie wiedział od początku, że naturalna wojowniczość mężczyzny, wynika z jego płciowości, oraz że Fundacja nie zaryzykuje kłopotów między nami podczas wyprawy. A więc – wyeliminowali je. Właśnie dlatego wybudziłem Hanlona spod hipnolu, ponieważ on nie zaszedł on aż tak daleko, zanim go wylali. Ponieważ to on jest naszą ostatnią nadzieją, utrzymania rasy przy życiu.

Cała trójka stała i z pewną obawą w oczach obserwowała grę snów na uśpionej twarzy Hanlona.

— Zastanawiam się tylko — powiedział Lowe, — czy coś podobnego mogło się już kiedyś wydarzyć? Czy ta cała sytuacja nie jest podobna do jednego z tych starych pism pergaminowych, wykopywanych przez archeologów, których poprzednia zawartość została wymazana i nadpisana przez nową. Zdaje się, że to się nazywa palimpsest… Skąd my w zasadzie pochodzimy, tak u źródeł?

Geddes podszedł i szarpnięciem obudził Hanlona.

— Na brzegu rzeki znajdziesz łódź — oznajmił mu. — Możesz rozpocząć wszystko od podstaw, zupełnie nowy świat, Hanlon. Zajmij się tym.

Wspięli się po drabince i już mieli zamknąć za sobą właz, kiedy usłyszeli plusk wody, płynącego przez rzekę Hanlona. Chwilę później doleciał do nich jego głośny, dźwięczny wrzask, niknąc bez echa na rozległej równinie.

— Nie tracił czasu na szukanie łodzi — z zazdrością zauważył Hovic.

Przypinali się właśnie, w przygotowaniu na ostatni lot Terry IV, kiedy Geddes roześmiał się po raz pierwszy od czasu startu z Ziemi.

— Myślę, że Lowe ma rację — powiedział, kiedy zaczęli się w niego wpatrywać. — Szkoda, że nie będziemy mogli wrócić tu, po kilkuset pokoleniach. Zastanawiam się, jak będzie wyglądać ta cała planeta Hanlona?

— … i dlatego możemy z pewnością powiedzieć, że nie pochodzimy od Ziemian — zakończył swój raport dla Wenusjańskiego Towarzystwa Archeologicznego, Mach Bren. — Jakże moglibyśmy poważnie rozważać pokrewieństwo z ludźmi, których skóra i włosy są czarne?

Spotkanie było szeroko transmitowane i na całej powierzchni Srebrnej Planety sto milionów innych rudowłosych Wenusjan pokręciło głowami we wstrząśniętym zdziwieniu i w pełni się z nim zgodziło.

KONIEC